



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

Z WYSPY ATLANTY. *)

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska

List Abrakadbrusa do Redakcji Wieczorów Rodzinnych.

Marmurowa góra d. 22 Marca.

zanowna Redakcyo! Myśl jakby najlepiej spełnić dane mi przez Was polecenie, zajmowała mnie niejednokrotnie, podczas méj długiej podróży. Przedstawiało ono trudności istotnie niemałe, ale ufając mojej szczęśliwej gwiazdzie, nie traciłem nadziei że uda mi się te trudności pokonać i byłem dobrej myśli, jak również i muł mój, stąpający rażno mimo zmęczenia; od kraju bowiem króla Dobromira, gdzie wypocząłem przez dni kilka, jechałem ciągle na nim. Przybywszy nad brzeg morza, wsiadłem wraz z mułem na statek, należący do króla Bożydara i w kilka godzin potem przybiliśmy do brzegów wyspy Atlanty.

O jakże inny teraz oczom mo-

im przedstawił się widok, niż wówczas gdy po raz pierwszy jeździłem do tego kraju. Wtedy nigdzie nie napotykałem ludzi, wszyscy mieszkańcy bowiem z powodu niezgody królewiczów, powynosili się w inne strony, nie wiedząc którego z trzech panów słuchać mają. Woleli mieszkać tam, gdzie panował mądrze sędziwy król Bożydar. Pozostali tylko przy królewiczach przywiązani i wierni dworzanie, którzy ich opuścić nie chcieli, a ci przebywali wraz z nimi w obrębie siedzib; reszta wyspy była prawie wyludniona. Dziś co krok napotykałem liczne osady, a po drogach ruch idących pieszo, jadących konno i wozy ładowne kierujące się w stronę morza — a gdzie dawniej były wązkie, niewygodne drożyny, teraz prowadził bity szeroki gościniec. Znać było, że w tem państwie przez trzech władców rządzonem, jest ład, porządek i dobrobyt, że trzy serca ożywia jedna myśl i jedno uczucie: dbałość o dobro powierzonego przez ojca kraju.

— Mój Boże! — myślałem — jakie to cuda zgodą i mi-

nie czytali, przytaczamy pokrótce jej treść. Król Bożydar oddał w posiadanie trzem swoim synom wyspę Atlantę, a ci zamiast podzielić ją na równe części, inaczéj się urządzili, wybierając każdy to co cenil najwięcej: Krysztalek wziął minerały, Pióropuszek zwierzęta, Zielonko rośliny, postanowivszy tym działem się zadowolnić i nie nad to jeden od drugiego nie żądać. Ale układ okazał się niemożliwym w praktyce: królewicze tajemnie i gwałtem zabierali jeden drugiemu, co im było potrzebne, w skutek czego w ciągłej żyli z sobą niezgodzie. Gdy upodobawszy sobie trzy piękne córki króla Dobromira, Iskierkę, Perelkę i Jagódkę, zapragnęły je poślubić, król acz pragnął je wydać za synów serdecznego przyjaciela, nie chciał na to zezwolić, bo odstęczyła go niezgoda braci. Wysłał tedy w dyplomatycznym poselstwie na Atlantę mistrza Abrakadbrusa, nauczyciela swoich córek, a ten wykazawszy królewiczom w jak ścisłym z sobą związku zostają trzy królestwa przyrody i jak jedno bez drugiego istnieć nie może, pogodził ich dowcipnym sposobem i powieść skończyła się trzema weselami. Ciekawych bliższych szczegółów, odsyłamy do téj prześlicznej książeczki.

Przypisek Redakcyi.

*) Cztery lata temu drukowaną była w piśmie naszym powieść ś. p. Maryi Julii Zaleskiej, p. t. *Niezgodni królewicze* i następnie wyszła w oddzielnéj książce. Dla tych, którzy powieści téj



łość wzajemna czynić może: domy i ludzie wyrastają jak z pod ziemi, pustynie zamieniają się w złotodajne pola i kwitnące ogrody... Błogosławiony bądź Ty co stworzyłeś miłość i spraw aby coprędzej zagarnęła świat cały pod swoje panowanie!

O drogę pytać przechodniów nie potrzebowałem, bom ją dobrze pamiętał, mój też muł zdawał się ją sobie przypominać, bo na rozdrożach nawet wybierał bez wahania tę, którą miał postępować. Tak przybyliśmy o zachodzie słońca przed pałac królewicza Kryszałka, otoczony wysokim murem a noszący nazwę Marmurowej góry, dla materyału z którego był wzniesiony. Spostrzeżono mnie już i poznano z wieży strażniczkiej; natychmiast otrąbiono powitalną fanfarę i wjechałem z wielką paradą główną bramą, która przedemną otworzyła się na oścież. Masztalerz odebrał odemnie muła, a marszałek dworu cenną szkatułkę którą z sobą przywozłem. Upomniałem go, aby jęj strzegł jak oka w głowie.

Idąc przez dziedziniec wyłożony marmurowymi płytami i otoczony pięknymi posągami wyobrażającymi przodków królewicza, przypominałem sobie, jak przykre wrażenie zrobiła na mnie niegdyś ta wspaniała rezydencya. Wyglądała wówczas tak jakby na pustkowiu była zbudowaną. Zdaleka wiało od niej chłodem, nigdzie nie było ani jednego drzewa, ani odrobiny zieleności — a teraz pałac tonął w gaju drzew, niewielkich jeszcze wprawdzie, bo nie tak dawno posadzonych, ale gestych i bujnie rozrosłych. Wiosna pokrywała je właśnie pączkami, młodziutkimi listkami, a w powietrzu czuć było życie drgające w miejsce dawnej głuchej martwoty.

Paź zabiegł mi drogę z twarzą radosną, mówiąc że w pałacu wiedzą już o mojem przybyciu, że wszyscy trzej królewicze wraz z żonami są razem zebrani w czerwonej sali na dole i oczekują mego przybycia; żebym się nie przebierał tylko szedł prosto na pokoje. Jakkolwiek szaty moje pyłem podróży były okryte, usłuchałem wezwania i wszedłem na krużganek, gdzie na moje spotkanie wybiegła cała zarumieniona z pośpiechu, władczyni tego pałacu królewiczowa Iskierka, wołając:

— Witaj! drogi, kochany nasz mistrzu! Jak to dobrze że już wróciłeś: stęskniliśmy się bardzo za tobą! Nie było dnia żebyśmy o tobie nie wspominali!

I ściskając mi ręce serdecznie pociągnęła za sobą do czerwonej sali, gdzie znalazłem całe kółko rodzinne zgromadzone. Królewiczowa Perełka robiła złotą siatkę perłami przetykaną, której nauczyła się od matki, królowej Miłosławy; królewiczowa Jagódka układała przepyszny bukiet z fiołków, gardenii i róż, a królewicze rozmawiali z ożywieniem, popijając rubinowy napój z kryształowych pucharów. Na stole stał srebrny dzban i koszyk napełniony przepyszny owocami.

Gdy wszedłem zerwali się wszyscy: królewiczowe przypadły do mnie wołając:

— Nasz mistrz! nasz mistrz kochany!

A królewicze ściskali mi ręce z nieklamana serdecznością, mówiąc:

— Więcej już nie odjedziesz od nas, kochany mistrzu! Czyż dla tego nas pogodziłeś i przyczyniłeś się do naszego szczęścia, żeby na nie nie patrzeć?

Chociaż nie lubię poddawać się wzruszeniom, bo to hart ducha osłabia, ale wyznaję, że widząc wszystkie twarze rozpromienione radością na mój widok, doznałem dziwnej jakiejś miękości koło serca, zwłaszcza gdy królewiczowe wzięły mnie pod ręce, jak dawniej gdy byłem ich nauczycielem i poprowadziły do krzesła z poręczami, mówiąc:

— Siadaj kochany mistrzu, tu przecież będzie ci wygodniej, niż na grzbiecie twego starego, pocziwego muła.

Nie bez pewnej obawy siadałem na przepysznym złoconym krześle, pamiętając mój pierwszy pobyt w tym pałacu, gdy od twardych siedzeń bolały kości, bo królewicz Kryszałek wlosia używać nie chciał do wyściełania mebli, jako produktu zwierzęcego. Moje zaś kości bardzo dziś były strudzone długą po świecie podróżą — ale o dziwy! wpadłem jak w puch: siedzenie było miękie, elastyczne, a pod stopami zamiast zimnego marmuru, czułem ciepły, puszysty kobierzec. Wielkie zmiany zaszły tu w czasie mojej nieobecności, zmiany polegające na stałym wzajemnym przymierzu trzech królestw przyrody.

Wszyscy otoczyli mnie zarzucając pytaniami, gdzie byłem przez te lata, com robił, co widziałem, a królewiczowe choć już niby poważne damy szczebiotały najgłośniej, jedna przez drugą, jak dawne dziewczynki, aż musiałem je po dawnemu także strofować.

— Powoli, powoli moje królewny kochane (dla mnie pozostały one zawsze królewnami): nie mogę wszystkim na wszystkie pytania odrazu odpowiedzieć. Pytajcie mnie po kolei.

— Pozwólcie najprzód mistrzowi odpocząć! — odezwał się królewicz Kryszałek, roztropny zawsze i uważny. Niech najprzód siły pokrzepi, a potem będzie wam opowiadał. Należcie mu miodu.

Królewiczowa Iskierka na te słowa sięgnęła do dzbana, napełniła po brzegi czarą kryształową i podała mi ją. Królewiczowa Jagódka włożyła mi w drugą rękę bukiet z wonnych gardenii i róż jeszcze wonniejszych, a królewiczowa Perełka zarzuciła mi na ramiona swoją siatkę złocistą, mówiąc że teraz już im nie ucieknę, bo jestem w sieć schwytyany jak ryba.

— No teraz już możemy pytać — odezwała się, gdy czarę do połowy wypróżnioną przed sobą postawił, bo była najniecierpliwsza ze wszystkich. — Powiedz nam najprzód kochany mistrzu, gdzie byłeś?

— Ja wiem — przemówiła Jagódka — mistrz był pewnie w swojej dawnej ojczyźnie, na Wschodzie, gdzie mieszka jego przyjaciel Chemik, o którym często nam opowiadał!

— Przyjaciel mój mieszkał na Wschodzie dopóki się nazywał Al-Chemikiem — odparłem — ale od czasu, gdy pierwsze dwie głoski nazwiska swego odrzucił, przebywa przeważnie na Zachodzie.

— A może mistrz był na Południu — wtrąciła Iskierka — gdzie jest słynne na cały świat miasto, zbudowane na siedmiu pagórkach, w pięknym kraju, o którym wielki poeta niemiecki Göthe śpiewa:

„Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?

Pomarańcz blask, majowe złoci drzewa”.

A Perełka zaprzeczyła:

— Eh, nie, zamiast tam mistrz chyba wołał przebywać na Zachodzie, gdzie biją źródła tegoczesnej cywilizacji i dokąd Wystawa powszechna cały świat niemal ściągnęła.

Królewicze ujawszy się pod ręce stali patrząc to na mnie, to na swoje żony i uśmiechali się z tój ciekawości i szczebiotliwości niewieściej — ja zaś milczałem, bo nie mogłem dojść do słowa, dopiero gdy umilkły, odezwałem się:

— Zgadłyście wszystkie, moje miłościwe królewny: byłem na Wschodzie, na Zachodzie, na Północy i na Południu, jednym słowem odbyłem podróż wzdłuż i wszerz świata.

— Wzdłuż i wszerz świata! — wykrzyknęły wszystkie trzy z uniesieniem — dopiero to nasz mistrz kochany będzie

nam miał co opowiadać! Jakie widzieć musiał w podróży swój cuda!

— Jakie minerały! — odezwał się Kryształek.

— Jakie zwierzęta! — zawołał Pióropuszek.

— Jakie rośliny! — wykrzyknął Zielonko, i aż mu oczy zabłyśły, bo rośliny miłował nadewszystko.

— Jakich ludzi, jakie kraje, jaki przemysł! — wołały po kolei królewiczowe, a w oczach wszystkich błyszczała gorąca, pełna niepokoju i oczekiwania ciekawość.

Umoczyłem znowu usta w stojącym przedemną rubinowym napoju i odpowiedziałem:

— Tak jest, widziałem wiele, bardzo wiele rzeczy ciekawych, choć mało rzeczy nowych, bo jak wiecie: „nic nowego pod słońcem”. Niejeden wynalazek wprowadzający nas dzisiaj w podziw, roił się już w głowach Egipcyan lub Chińczyków, Greków lub Rzymian. Widziałem kraje bogate i ubogie, szczęśliwe i w głębokiej pograżone niedoli; widziałem swobodę i ucisk, zbrodnię i cnotę, ale to wszystko stare jest jak świat... Nie spotkałem ani jednego kraju, w którymby tego wszystkiego potrosze nie było, a wszędzie gdziekolwiek powiodły mnie kroki, przekonywałem się „że większe jest miłosierdzie Boskie, aniżeli złość ludzka”.

Słuchacze moi zamyślili się nieco nad znaczeniem tych słów, a ja poniosłem znowu do ust czarę z napojem i rzekłem:

— Miłościwi królewicze i królewiczowe, z podróży mej po świecie przyniosłem wam gościniec: zgadnijcie jaki!

Wyrazy te niezmiernie zaciekawiły wszystkich: milczeli chwilę spoglądając po sobie.

— Zdaje mi się — przemówiła Iskierka — że skoro mistrz wiozł dla nas coś z tak daleka, to musiał chyba przywieźć coś bardzo sobliwego.

— Naturalnie — potwierdziła Perełka — rzeczy zwyczajnych mistrzby nawet nie wiozł. Wie, że na wyspie naszej jest wszystko co tylko w życiu codziennem może być potrzebne.

— Mistrz pewno przywiózł nam *roślinę hypnotyzującą* — odezwał się królewicz Zielonko, który zawsze myślał o roślinach. — Czytałem w jednej amerykańskiej gazecie, że w Meksyku znajduje się roślina nazwana przez tamtejszych mieszkańców *proroczym ziele*m. Osoba spożywająca ją, popada w stan zupełnie podobny do hypnotycznego: utracą własną wolę, oczy jej zamykają się, czucie znika, staje się zdatną do dawania odpowiedzi na wszelkie zadawanie jej pytania, zupełnie jak to bywa w stanie hypnotycznym. Jest to jakby jasnowiedzenie! Po upływie pewnego czasu, powraca do zwykłego stanu z zupełną nieświadomością tego, co się odbywało w czasie snu, spowodowanego działaniem tej rośliny. Od czasu jak się o tem dowiedziałem, bezustannie myślę, jakby tę roślinę dostać i kogo by po nią do Meksyku wyprawić. Ach, mistrzu! jeżeli byłeś w ojczyźnie kaktusów, to niezawodnie nic innego, tylko prorocze ziele z tamtąd przywozłeś. Ty co znasz tajemnice mędrców starego Wschodu, ty dla którego nie jest obcą sztuka indyjskich fakirów *), jak również najnowsze zdobycze nowoczesnej nauki, musiałeś chyba poznać tę roślinę! Jeżeli nie ją przywozłeś, to powiedz mi przynajmniej do jakiej należy rośliny, jak wygląda i czy wydaje woń?

*) Fakir po arabsku znaczy w ogóle „ubogi” — ale fakirami nazywają derwiszów czyli duchownych mahometanów, oraz pokutników w Indyach, którzy prowadzą życie pokutnicze, poddają się wszelkiego rodzaju dobrowolnym udręczeniom, znają cudowne własności ziół i wprowadzają w podziw tłumy sztukami, które wydają się im nadprzyrodzonymi.

— Nie widziałem proroczego ziele, królewiczu — odpowiedziałem, a Zielonko widocznie się zasmucił.

— A mnie się zdaje — rzekł Kryształek — że mistrz przywiózł nam sztuczny dyament, który udało się wytworzyć sposobem chemicznym niejakiemu Parsonsowi. Otrzymał on podobno warstwę drobnych kryształków, które przedstawiają wszelkie cechy dyamentu i mogą być szlifowane w brylanty. Wyprawiłem umyślnego posła do tego uczonego, żeby za jakąkolwiek cenę nabył dla mnie choć jeden okruch tego sztucznego dyamentu, bo odkąd się o nim dowiedziałem, nie mam spokoju, i ciągle myślę jakby go dostać i do zbiorów moich przyłączyć. Posiadam wprawdzie wielką skrzynię pełną drogich kamieni i wielką ilość dyamentów, ale to są dyamenty wykopane z ziemi...! Wszystkie oddałbym za jeden drobny, maleńki okruch, wytworzony ręką człowieka, bo człowiek ten odgadł jedną z najskrytszych tajemnic natury, skoro potrafił ją naśladować! Mistrzu, jeżeli sztuczny dyament mi przywozłeś, oddam ci za niego wszystkie moje dyamenty prawdziwe!

— A mnie co po dyamentach! miłościwy królewiczu — odpowiedziałem śmiejąc się — miałbym z niemi tylko kłopot. Doświadczenie życia nauczyło mnie cenić tylko klejnoty serca i umysłu, których przed żadnym złodziejem zabezpieczać nie trzeba. Gdybym jako gościniec wiozł z sobą sztuczny dyament Parsonsa, ofiarowałbym go Waszjej Miłości darmo, ale go nie przywozłem, bo wynalazca nie łatwo by go oddał. Zresztą on wcale nie otrzymał dyamentu dającego się szlifować, jak mnie maliście miłościwy królewiczu, tylko szary, drobnutki, bardzo twardy proszek, rysujący sam dyament nawet, będący zapewne niczem innym, jak drobnymi kryształkami węgla, a trzeba ci wiedzieć królewiczu, że Parsons otrzymał ten proszek tylko przypadkiem.

— Co mówisz, mistrzu! — zawołał zdumiony Kryształek.

— Uczony ten nie miał wcale na celu otrzymania dyamentu, ale ścisłych węgli do lamp elektrycznych, węgli któreby były trwalsze od używanych dotychczas i dla tego poddawał węgiel działaniu rozmaitych ciał pod wielkim ciśnieniem, i wysokiej temperaturze. Byłem w pracowni Parsonsa i widziałem ten szary proszek, przylegający do pałeczki węgla; od proszku daleko jednak jeszcze do owych pięknych kryształów, jaśniejących barwami tęczy, łamiących światło i rzucających dokoła tysiączne blaski... Kiedyś zapewne uczeni i to potrafia zrobić, a dyamenty sztuczne nie będą się niczem różniły od prawdziwych, chyba wielkością. Mój przyjaciel Chemik utrzymuje, że o ile skład chemiczny tego cennego minerału jest prostym, o tyle początek geologiczny ciemnym, chcąc zaś tworzyć sztuczne dyamenty, trzeba dobrze znać warunki w jakich je natura wytworzyła z węgla, żeby ją w tem naśladować. Geologowie i chemicy niemało już sobie nałamały głowy nad pochodzeniem dyamentu i pomimo najusilniejszych badań, nie umieją tego jeszcze objaśnić. Jedni z nich twierdzą, że kamień ten uformował się pod działaniem ognia, inni że pod działaniem wilgoci; w ostatnich czasach większość uczonych zgodziła się na to, że dyament powstał przy niskiej temperaturze, drogą krystalizowania się węgla z jakiegoś płynu — ale wtedy tylko możnaby w to napewno uwierzyć, gdyby komuś udało się roztworzyć w czemś węgiel, a następnie wykrytalizować go.

Kryształek westchnął.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

Wtedy dopiero odchodząc już i dźwigając ciężko ranne-
go towarzysza, goście spostrzegli Pala i Szandora z rękami
związanimi i zawiązanymi ustami, siedzących na wzgórkach pod
dębem, rozwiązano ich pozwalając iść w swoje drogi.

— Otóż to zbytek mojej ostrożności — westchnął Saghy
— gdybym był tych uczciwych ludzi nie wiązał, byłiby przecież
ostrzegli moich kolegów gdy im zachodziliście z tyłu, aby ich
w jar zepchnąć...

— Ech, drogi przyjacielu — ze współczuciem rzecze So-
bri — wierz mi że wszystko co zaszło między nami, jest tylko
skutkiem nieporozumienia, ponieważ świeżo do naszego komi-
tatu przybyłeś: poczekaj trochę a przekonasz się, nabrawszy
doświadczenia że zawsze wypadnie ci interes iść na zachód,
gdy ja na wschodzie bawić będę, i przeto nie wejdzimy sobie
w drogę wzajemnie.

— Wasza miłość niech też raczy pamiętać o przyobiecany-
m mi zarobku!... — przypomniał się cygan, kłaniając się
do nóg starszemu pandurowi. Ten aż się zatrząsał:

— Zarobek! — krzyknął zadowolony, że ma na kim skry-
ty gniew wyrzucić. — Zarobek, za to żeś miał mię naprowadzić
na legowisko szegeny legeny, gdziebym Sobrego i wszystkich jak
szczurów mógł wziąć, a tyś mię
naprowadził na wstyd i ciężką straż-
tę! Na gałęź tego łotra, dzieci!

— A prawda, że on da-
wno już na to zarobił, jeżeliby
wam się urwał to moi go powieszają:
nieraz on już na nas naprowadzał
— rzekł Sobri. Kilku pandurów
w mgnieniu oka, jakby wielce spragnieni
takiego rozkazu, wyciągnęli
postronki z kieszeni i zarzucili na
szyję przewodnika.

— Łaski! wasza miłość! A co
ja winien że Sobremu zła siła po-
maga! Ja dobrze prowadziłem!
— krzyknął cygan, rzucając się
do nóg Saghego i szepcząc mu je-
dnocześnie:

— Ej, bo powiem Sobremu że
wasza miłość chmarę pieniędzy na piersiach nosisz!

I w tejsze chwili rzucając się tak samo do nóg Sobrego,
krzyczał:

— Łaski! wielmożny panie! a co ja biedak mam robić,
gdy mi panowie pandury rozkażą się prowadzić trzymając na
postronku, jak teraz?... a pochicu dodał:

— Naprowadziłem bo musiałem, ale czy powiedziałem
pandurom że tam z tego jaru jest drugie wyjście dołem, pod
skałą?

— Niech go licho porwie! Czy taki cygan wart że-
by go porządni żandarmi wieszali! Puścić go! — z wielkim
pośpiechem zawołał pan Saghy, wrzucając jednocześnie cyga-
nowi umówioną wpierw kwotę.

— I to prawda! Nie zabraknie nicponi na świecie choć-
byśmy tego zeń wyprawili: jednym mniej, jednym więcej,
wszystko jedno!... — machnął ręką Sobri. Cygan pochwy-
ciwszy pieniądź znikł w lesie; żandarmi poszli w swoją stronę,
śledzeni tajemnie aż do wyjścia z lasu przez szegeny legeny;
Sobri zwrócił się do Pala i Szandora, zapraszając ich na nową
wieczerzę. Nie można było odmówić nie obrażając. Uczto-
wano wesoło, śpiewając pieśni, których treścią były drwiny
z pandurów, wino i rozkosze leśnej swobody.

— A teraz — rzecze Sobri, poprawiając stroju — siadź-
my na koń i polemy tańcować, bo w najbliższej wiosce wesele
gospodarskiej cówki się odbywa.

— A jeżeli pandury tam będą? — spytał Szandor.
— O, to ich weselnicy ścisną, gdyby co złego względem

mnie zamyślali, a ja ujdę tymczasem; czy to już raz tak bywa-
ło. A wy przecież nie potrzebujecie od pandurów stronić.

— Jedź sam — rzekł Pal — ja muszę tego chłopca do
mego krewnego kanasza zaprowadzić, bo tak sobie umyśliłem,
a potem co prędzej do stada wrócę.

Jak powiedział tak zrobił, a Szandor nad ranem już
upadłszy na siano w szałasie kanasza, zasnął snem ciężkiego
znużenia. Mimo to wstał rano i zaledwie mogąc trzymać się
na nogach, podziękował kanaszowi za gościnność i poszedł da-
lój. Był teraz zdecydowany opuścić copędzej las, w którym
jeszcze wczoraj żyć zamierzał. Nie umiał sam sobie określić
co się stało, ale czuł że noc wczorajsza zniszczyła ideały jego
lat dziecięcych, od wczoraj jeszcze istniejące w całej pełni. Na-
wet życie czikosów zdawało mu się teraz jakoś niemiłym,
a już co las Bakony, ta arena bohaterskich popisów pięknego
Sobrego i jemu podobnych, toż to było schronienie nie-
szczęsnych wyrzutków społeczeństwa, których cele i rozkosze
opiewane wczoraj w pieśniach, nic a nic w sobie wzniosłego nie
miały. Najdokładniej teraz odczuwał Szandor wstręt swojej
matki do stosunków z szegeny legeny i uchodził z lasu copęd-
dziej. Aby usunąć z myśli wspomnienia wczorajszych pieśni,
zaczął głośno powtarzać z pamięci najpiękniejsze utwory Ho-
racego i Schillera. Piętnastoletni poeta nie domyślał się wcale,
że przyczyną niesmaku dzisiejszego do dawnych ideałów, by-
ło rozszerzenie się jego własnych pojęć i uszlachetnienie
ducha przez naukę. Idąc lasem kierował się wedle słońca
i wiadomościami geograficznymi. Noc następną przespał w sza-
łasie drugiego kanasza, do którego

miał polecenie od Pala, i nazajutrz
 stanął nareszcie na nieznanym
 skraju lasu Bakony, u wstępu do
 części puszczy, w której nigdy nie
 był w życiu. Daleko, daleko, na
 wschód od miejsca gdzie się znaj-
 dował, w pośrodku bezdennej prze-
 strzeni, błyszczał w słońcu jakiś
 gród wspaniały i wyniosły.

— Tak, to tutaj — powiedział
 sobie młody podróżny — ten gród
 to musi być Buda starożytna
 wzniesiona na skale, z Pesztem
 u stóp swoich, a ta ledwo dostrze-
 galna świetna srebrna niteczka
 przebiega środek i dalej przez pusztę
 bieżąca, to Dunaj! Buda i Peszt,
 ogromne zbiorowisko ludzi, pomie-
 dzy którymi może znajdzie się miejsce dla nieposłusznego sy-
 na, co chce żyć z dala od ojcowskiego gniewu... O Boże, cóż
 się dzieje ze mną, dla czegoż zszedłem na bezdroża?

Z twarzą łzami zalaną i śmiertelnym smutkiem w duszy,
 chłopak ruszył ku błyszczącej Budzie, nie mając siły zawrócić,
 a czując doskonale że każdy krok na tej drodze usuwa go coraz
 dalej od ojcowskiego błogosławieństwa.

VI.

Nie wiele miast pierwszorzędnych przedstawia się na
 wstępie tak wspaniale jak Buda-Peszt, zwłaszcza jeżeli podró-
 żny zbliża się doń jak Szandor, z całą świadomością staroży-
 tnych dziejów narodu, tak drogich dla Madziara. Nie dziw
 że z wrażliwego serca młodocianego poety, ustępował powoli
 ból, a tysiące myśli tłoczyło się na jego miejsce, w miarę jak
 wyraźniejszym stawało się miasto, zbudowane w większej czę-
 ści na wysokości górze, pełne gmachów odwiecznych, osiedlonych
 prawnukami wojowników różnych i licznych plemion, które nie-
 gdyś krwią swoją napoiły tę ziemię, wydzierając ją sobie wza-
ajem. Mniejsza o Peszt poniżej leżący, miasto nowe, świeże,
 pełne sklepów bogatych, to wszystko nie obchodzi poe-
 tę, ale Buda!... W głębokiej starożytności, na długi czas zanim
 Rzymianie pojawili się i zapanowali tutaj, istnieli podobno na
 północy Karpat Budyni, którzy założyli Budę. Później, wojo-
 wnicy Augusta i Tyberyusza, drapieżni a dzielni Rzymianie,
 nazwali tę miejscowość *Aquincum*, to jest *Aquae quinquae*



Sylwetka Napoleona I-go.

czyli *pięć źródeł* i zbudowali kolonią tu właśnie gdzie leży O-Buda czyli Stara-Buda. Dowodem tego faktu są szczątki amfiteatru obszernego na dziesięć tysięcy ludzi, i mnogość niezliczona urn i przeróżnych zabytków rzymskich, wykopanych z ziemi, wraz z mozajkami, popiersiami i t. p. dziełami starożytnego arcyzmu. Ale znów w IV wieku, wśród nieszczęść spadłych na Rzymian, dawnych świata panów, przyszli Hunowie, a ich wódz Attyła, miał brata imieniem Bleda lub Buda i kto wie czy nie ten ostatni dał miastu Budzie początek. Tak przynajmniej mniemają Węgrzy po większej części. Szandor zastanawiał się nad tą historyczną wątpliwością, wstępując w bramy wspaniałego miasta, gdy po raz pierwszy przyszła mu na myśl dotycząca go wątpliwość, mianowicie co on w tem mieście robić będzie ażeby żyć?... Nie długo się namyślał i wszedł, pierwszym i najpilniejszym dlań celem było: utonąć w zbiorowisku ludzi, które mu się dość bezbrzeżnym i niezgłębiomem niby ocean zdawało, ażeby odnalezionym nie zostać. Pozostawało mu trochę grosza z kieszonkowych pieniędzy, w jakie od czasu

zajmowało żywo Szandora. A każdy pomnik, każdy fakt wiódł za sobą nieprzebraną ilość tradycyi i legend. Nawpół przytomny pod natłokiem wrażeń, mały poeta przez trzy dni biegał po mieście szukając śladów, domyślając się, kombinując, odgadując, pytając, lub zmęczony siedział jak skamieniały tu na głazie jakim, tam na urwistem wybrzeżu Dunaju, usiłując odbudować w sercu swem to, co straszliwe napaści tureckie obróciły niegdyś ostatecznie w stos gruzów. Wiedział przecież że w r. 1686 gdy rycerstwo węgierskie odebrało Turkom Budę zamienioną przez nich w drugi Stambuł, potem zburzoną przez wojnę, to z całego miasta pozostały tylko dwa kościoły i wieża Dominikańskiego klasztoru, którą nieświadomi miejscowi nawet, pokazują podróżnym jako sławną Czonka-Torony... wiedział o tem z książek, ale wyobraźnia wzbraniała się wierzyć książce i poeta gwałtem szukał dnia wczorajszego, dopatrywał to, czego nie było, dobudowując i dośpiewując w duchu czego dosłyszeć ani dopatrzeć nie mogły oczy i uszy. Ten szal choreblwy niemal, który ogarnął młodego Węgra, przy pierwszym



Małpa z Grumois.



Sylwetka starego człowieka.

do czasu zaopatrywali go rodzice, przeliczył tę odrobinę siadłszy na ustroniu, obiecując sobie rozporządzać nią jak najdłużej, aby zabezpieczyć się od głodu. Trudno to jednak było, bo postanawiając żyć jedynie chlebem, musiał jednak nocować w jakiejś oberży a ceny noclegu nie wiedział. Pomimo tego wszystkiego i ciężkiej zgryzoty jaką przyniósł z sobą, zajęcie historycznemi zabytkami Budy unosiło go i górowało ponad troską. Posiliwszy się wedle postanowienia chlebem jedynie, puścił się na oglądanie. Zabierało mu to dużo czasu, chociaż nie mając nigdzie wstępu, ani wiedząc jak go sobie wyjednać, oglądał tylko powierzchownie gmachy. Żywa niezmiernie wyobraźnia i pamięć bogata w historyczne wiadomości sprawiała, że zastanawiał się nad każdym z nich długo. Twierdza z czasów Beli IV-go zbudowana na wierzchołku skały, dająca początek rezydencji królewskiej od r. 1244; ślady dotąd istniejące pałac Wielkiego Ludwika Andegaweńskiego (d'Anjou) zbudowanego tamże następnie; przepyszny pałac cesarza Zygmunta, jeszcze wspanialszy od ludwikowego; warowna baszta zwana Czonka-Forony, rodzaj bastylli węgierskiej, obejmującej w swem strasznym wnętrzu sześć baszt innych, gdzie magnaci węgierscy często odpokutowywali winy swe przeciw majestatowi królewskiemu; katedra rozpoczęta przez Belę IV-go, dokończona przez Macieja Korwina... wszystko to

zetknięciu z pomnikiem przeszłości dziejowej, rozwiął się jednak nagle w dniu, w którym sięgnąwszy do szamowanej kieszonki nie znalazł w niej ani grosza.

(d. c. n.)

SKAŁY DZIWNYCH KSZTAŁTÓW.

Wielokrotnie już podawały „Wieczory” ryciny skał przedstawiających w grubych zarysach kształty ludzi i zwierząt, tak zupełnie jakby je wyrzeźbiło wprawne dłuto artysty. Praojcowie nasi poświęcali martwym tym formom szczególną uwagę, nadając im nazwy istot które przypominały. Każda okolica więc górzysta ma podobne osobliwości i zapewne nie jeden z naszych czytelników mógł je naocznie podziwiać. Nie wszystkie jednak u nas bywają uwiecznione ołówkiem lub pendzlem artysty, tak jak to ma miejsce zagranicą, gdzie wielka liczba turystów zwiedzając wszelkie osobliwości danego kraju nie szczędzi trudów i mozołu, by takowe choć w reprodukcji znane były szerszym kołom ludzi inteligentnych. A dodać tu musimy, że skała pod wpływem powietrza rozkładając się zmienia swe kształty. Długiego naturalnie potrzeba na

to czasu; zdarza się jednak, że młodsze pokolenie nie widzi już tego co podziwiali jego ojcowie. Takiemu właśnie losowi uległ odłam skały, który przedstawia pierwsza nasza rycina, zadziwiająco wyraźnie rysująca sylwetkę Napoleona I-go. Nie o każdej jednak porze dnia i nie z każdego punktu widzenia podobieństwo takie występuje równie wyraźnie, to też sylwetkę Napoleona podziwiać było można tylko o zachodzie słońca; a było ono wtenczas tak wyraźne, że ktoś zapytany znieścacka co widzi? odpowiedział bez namysłu: „Cesarza”. Skała ta znajduje się w łańcuchu Alp w bliskości góry Mont-Blanc, szczególny jej odłam jednak podziwiany jeszcze w roku 1842 dziś już nie istnieje.

Inny ciekawy rysunek podaje nam rycina druga przedstawiająca skałę, która się wznosi nad prześliczną doliną w Grumois, na pograniczu Francji i Szwajcaryi. Skała ta zwana jest ogólnie pod nazwą: „Małpy z Grumois” uderzająco bowiem przypomina to zwierzę, gdy promienie słońca padają na nią ukośnie.

Ameryka posiada również mnóstwo podobnie ciekawych okazów, ograniczamy się jednak na wzmiance o skale zwaną: „Stary człowiek” która się znajduje w Stanach Zjednoczonych, a której bok jeden zarysowuje kształty starca z długą brodą, jak to sprawdzić możemy na rycinie trzeciej.

WIOSNA W DUSZY.

Wierszyk ofiarowany siostrzytce.

Wiosna nadchodzi... Patrzmy wesoło
Na uśmiechnięte światy w około —
Na księżyc, gwiazdy i ziemię:
Srebrny przyjaciel świeci łagodnie,
W szafirach gwiazdy błyszczą pogodnie,
Po ziemi wiosenka drzemie.

* * *

Cieszą się liście, kwiaty i drzewa
I ptak, co w górze piosenki śpiewa,
I motyl barwnie odziany;
Cieszy się nawet robaczek mały,
Co ma w nizinie przeżyć wiek cały,
Lub zginać, nogą zdeptany.

* * *

Jedenżby człowiek, pan wśród stworzenia,
Nie miał ślać w niebo radości pienia
I szczęścia w duszy czuć tyle?...
Jedenżby człowiek z myślą ponurą,
Z skargą na ustach, na czole z chmurą,
Szemrać na los swój miał śmieje?

* * *

Szemrać? że czeka go niebo?
Chmurzyć się... o co?... może z przyczyny,
Że niema samych róż wśród doliny,
Którą nazwano łez glebą?...
O nie! szczęśliwi są i być muszą
Obdarowani sercem i duszą,
Chyba, że w sercu ziąb gości...
Kto kocha bliźnich choćby go wszyscy
Odbiegli sercu najbardziej bliżcy,
Odnajdzie szczęście w miłości.
W tej nocy zawsze wielbionej...
Bo choć mu zbraknie radości trocha,
Nie zamknie serca, tylko ukocha
Całe dusz bratnich miliony!
I będzie ufał, kochał i wierzył
I łzy ocierał i szczęście szerzył,

A w duszy jego radosnej,
Choćby po ziemi przez świat ten cały
Wichry i wściekłe burze szalały —
Zostanie słodki czar wiosny.

Marya Kondracka.

POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

— Czy idziecie aż do Vera-Paz? — spytał Dabby Simon nie znający dobrze dróg Yukatanu, właściciela psa.

— Nie; ale pokażę wam drogę aż do Kabellas. Z Kabellas, don Józef towarzysz mój i ja pójdziemy ku kopalniom, ale wy będziecie już tylko potrzebowali iść wybrzeżem rzeki Gordo.

— Chciałbym iść z wami — powiedział Hiszpan do Melchiora. — Patrzcie tylko jakie tam są przepyszne drzewa mango: doskonale byłoby obiadować pod ich cieniem.

Uwaga Hiszpana podobała się przewodnikowi i niezadługo wędrowcy dosięgli pięknej grupy drzew. Podczas gdy Menito zajmował się przygotowaniem uczy, don Józef i Tomek poszli po wety, i wkrótce wrócili, dźwigając najrozmaitsze owoce, a między innymi i mangi, których doskonały miękkisz wychwalają wszyscy podróżni.

— Zaczekajcie no chwilę — rzekł Hiszpan, składając ciężar swój w cieniu — spostrzegłem właśnie pewne drzewo, musi to być kalebas, który ma ogromne owoce, chciałem strącić jeden, ale nie mogłem dosięgnąć go kijem: czy niema tu gdzie kamyczków?

Każdy był tak zajęty przygotowaniami do obiadu, że nie bardzo zważano na słowa Hiszpana. Nagle Dabby Simon zaczął uciekać, krzycząc jak opętany, a Tomek i Kasztan pędzili za nim. Menito, który właśnie kładł na patelnię ryby niedawno złowione, uciekał także, cisnąwszy w ogień patelnię na długim trzonku wraz z wszystkim co zawierała; a don Józef biegał tam i sam, wrzeszcząc jak szalony i wymachując rękami nad głową.

— Cóż to znaczy? — zawołał Indyanin z depezsami, niosący kociołek z wodą od źródła, ale prawie równocześnie upuścił kociołek i uciekał jak inni.

— Szerszenie! szerszenie! — krzyczał.

— Urowadzajcie muła! — krzyknął Melchior, który znajdował się w niejakięj odległości i z trudnością silił się aby zrozumieć co się stało, dopóki dwa ostre zakłucia nie wyjaśniły mu zagadki.

Oto co zaszło. To co Hiszpan wziął za wielki kalebas, było poprostu gniazdem szerszeni. Rzucając w gniazdo kamieniami, rozżościał te skrzydlate licha. Wypadek ten rozgniewał zrazu porządnie kapitana; gdy się jednakże przekonał, że rany nie były niebezpieczne i że wszyscy skłonni byli brać rzeczy ze strony komicznej, zastosował się i on do ogólnego usposobienia.

— To więc w Hiszpanii takie owoce kalebasami nazywają? a to doskonały owoc! — śmiał się Tomek.

— Wiecie co, nigdybym nie uwierzył, żeby stare nogi Dabby Simona potrafiły jeszcze tak żwawo uciekać! — przedrwiwał Menito.

— Moje stare warte są młodych, kiedy mają w tem swój interes — odparł Indyanin.

— Jednak mądre są te szerszenie, kiedy nas tak prędko znalazły — śmiał się towarzysz psa z depezsami, trzymając się za boki.

— Mądre — mrucał Dabby Simon — nie wiem co w tem mądrego, z pół tuzina ich wkradło mi się w odzienie, a drugie tyle w nos... niech ich licho porwie!

Biedny don Józef milczał, ale prawdopodobnie długo pamiętał ten wypadek.

— Co on znów chciał robić z kalebasem? Czy to się je? — pytał Tomek swego wuja.

— Mięsiasta część tego owocu ma smak trochę cierpki, ale dość przyjemny; jednakże w ogóle nie dla jedzenia zbiera się kalebasy. Krajowcy robią z nich naczynia, miski, kubki, butelki. Wyrażają je za pomocą wrzącej wody, wygładzają i przyozdabiają malowidłami.

— W każdym razie takie naczynia przynajmniej nie łatwo ulegają rozbiciu.

— Z ósrodka zaś robią jeszcze syrop, bardzo dobry w dle ich zdania na niektóre choroby piersiowe i na gojenie ran.

U niektórych ludów Ameryki południowej napełniają te kalebasy kukurydzą lub maleńkimi kamyczkami, i grzechocząc niemi, przekonani są ludzie ci, że rozmawiają z bogiem swoim Tufanem; przechowują te naczynia troskliwie i oddają im codziennie cześć religijną. Dziwny to zaprawdę pomysł, żeby bóstwo rozmawiało ze swymi czcicielami, za pomocą pewnego rodzaju grzechotek, podobnych wielce do zwykłych zabawek dziecińczych.

Tomek śmiał się z tego, ale prędko śmiać się przestał, gdy przystąpił do nich Menito wielce zakłopotany, zawiadamiając, że obiad w skutek wypadku z szerszeniami wiele ucierpiał. Woda się wylała, ogień zagasł, owoce zostały rozrzucone i zdeptane, nie mówiąc już o rybach spalonych. Jakież teraz będzie obiad?

— Nie troszczcie się — rzekł towarzysz psa — widzicie tam dym za drzewami? to wioska indyjska, dostaniemy tam kupić coś do jedzenia. Jeżeliliby zaś wypadkiem nie mieli nic do sprzedania to mam jeszcze suchary w torbie.

Dym wznosił się z pośrodku małej polanki w głębi lasu, ale nie widać było ani śladu wsi, dopóki przewodnik nie wskazał wędrowcom kilka gromad drzew w głębi. Gdzie tylko dwa lub trzy drzewa stały w pobliżu siebie, tam Indianie połączyli je lianami, tworząc w ten sposób podłogę dla chat swoich, wznieśli w tedy na jakie sześć stóp nad ziemię, gdy tymczasem wyżej, gałęzie ułożone stosami i splecione między sobą stanowiły dach doskonały.

— I dla czego oni siedzą tak jak kury na drzewach? — spytał Tomek zdziwiony — czy nie mają siekier żeby sobie drzew naćcinać i chaty zbudować jak wszyscy ludzie?

— Mieszkają tak z powodu wylewów — odpowiedział Indianin. — W pewnych porach roku, rzeka Beliza przybiera o 12 lub 15 stóp i zupełnie zalewa kraj cały.

Gdy podróżni przedarli się na polankę, ze dwunastu Indian brązowej barwy gotowało sobie jedzenie. Indianin postąpił ku nim i opowiedziawszy przypadek, który podróżnych pozabawił żywności, zapytał czy nie mógłby kupić u nich cokolwiek? Nie wiele było tam coprawda do jedzenia, jednakże jeden z tych myśliwców w pół nagich, powstał i z książeczką powagą zaprosił gości aby zasiedli na obaloną kłodzie i podzielili z nimi ucztę. Kobiety ich, poszły na orzechy, jak objaśnił i dla tego nie mógł gościom ofiarować chleba, gdyż one to go przyrządzają, ale zresztą wszystko było na usługi, podróżnych. Żywo odmówił przyjęcia pieniędzy za przysługę, którą uważał jako powinność.

— Nie mamy chleba — mówił — ale mamy wiewiórki! (wiewiórki są jadane w Ameryce, nie tylko przez Indian i mieszkańców Meksyku, lecz także przez mieszkańców Stanów Zjednoczonych). Są już prawie gotowe. Oprócz tego oto są piękne, tłuste, doskonałe węgorze!

Melchior wywzajemniając się grzecznością za grzeczność Indianina, odpowiedział że zbyt przykro byłoby mu, gdyby miał pozabawiać wieczery swych gościnnych gospodarzy, podziękować uprzejmie za węgorze nie chcąc ich ani dotknąć, i przyjął tylko kilka wiewiórek dla siebie i swoich towarzyszków.

Pieczenie były zatykane na rożny, to jest na długie kije i piekły się przed wielkim ogniskiem. Od czasu do czasu jeden z Indian, do którego to snadz należało, powstawał, przystępował do pieczeni i łyżką zrobioną z kawałka kale-

basa, skrapiał wiewiórki rumieniące się prześlicznie pod działaniem ognia.

Dzięki tej zwierzynie i kilku owocom, które Tomek i Menito znowu zerwali w miejsce podeptanych podczas napadu szerszeni, podróżni obiadowali doskonale jak tylko obiadować można w pustyni, gdzie przecież nie należy być zbyt wybrednym.

Biedny don Józef tylko nie brał udziału w uczcie, ponieważ mu nie dały jeść okrutne cierpienia, spowodowane pokłuciem przez szerszenie, bo na nim to owady wywarły cały gniew swój zapamiętały. Gdy już zdjęto zastawę obiadową, co nie długo trwało, poprosił on Indian o trochę tłuszczu, którym polewano wiewiórki, aby nim namaścić twarz spuchniętą.

— Szerszenie? — spytał z właściwym Indianom lakonizmem ten, do którego prośba była zwróconą.

— Tak, dziesięciu lub dwunastu najmniej.

— Macie wy zaklinaczów czarowników na węże w waszym kraju?

— Nie mamy.

— Ah, tak wszystko się wyjaśnia. Biedny człowieku! Nic w tem dziwnego. My tu mamy doskonałych czarowników.

— A do czego oni potrzebni?

— Do czego? oni nasmarują cię pewną oliwą, która ochroni cię od ukąszeń much, os, a nawet gdy ich dobrze zapłacić, potrafią tak cię natrzeć, że zabezpieczą cię nawet i od ukąszenia węża.

— Mie mógłbym ja dostać choć butelkę tej oliwy i sam jej używać? — zapytał Hiszpan.

— Tak do rąk przynajmniej najprzód — rzekł Indianin — bo co twarze to już koniecznie tylko sam zaklinacz umie nią pociągnąć bo ta oliwa bardzo jest niebezpieczna przy użyciu. Jest to gwałtowna trucizna, od której musielibyście kichać i kichać, ażbyście na śmierć się zakichali. Możecie przecież natrzeć zwyczajnym tłuszczem wasze rany, w braku tamtej oliwy.

— Dużo czarowników od węży jest w waszym kraju? — zapytał Hiszpan.

— Mamy kilku, którzy nieobecni są teraz. Nietylko zabezpieczają od ukąszeń węzów i innych zwierząt okropnych, ale jeszcze leczą choroby i odpędzają duchy.

— Co on tam wygaduje o węzłach, o zaklinaczach i o duchach? — zapytał Tomek wuja.

— Tak nazywają ludzi, którzy oswajają płazy i wyuczają ich sztuk różnych. Dochodzą do tego umiejętnością i zręcznością, ale Indianie upatrują w tem działanie sił nadnaturalnych i wyobrażają sobie, że zaklinacze są czarownikami. Trzeba dodać, że oni sami utrzymują ogół w tym błędzie, otaczając swe działania najdziwniejszymi tajemniczymi praktykami. Wyzyskują oni w ten sposób łatwo wierność prostodusznych ludzi. Znają oni jednak istotnie użycie niektórych lecarskich środków i posługują się niemi dość zręcznie, a tutaj niema innych lekarzy, ci więc są jedynymi. Ale nie lubią oni wyjawiać swych tajemnic i wolą wmawiać w ludzi, że leczą w skutek bezpośrednich stosunków z bóstwem. Dziwiłbym się, gdybyśmy tu nie poznałomili się z zaklinaczami.

— Czy dużo jest węzów w Ameryce?

— Dużo; a między niemi znajduje się *grzechotnik* najjadowitszy ze wszystkich, tak nazwany z przyczyny przyrzędu jaki nosi u ogona, a który składa się z kilku rogowych cząstek wzajem trącających się z pewnym odgłosem o siebie. Odgłos ten zdradza obecność płazu za każdym jego poruszeniem. Prócz tego jest się zawiadomionym o jego obecności także i przez wstrętą woń jemu właściwą. Na szczęście, grzechotnik nie napastuje człowieka gdy nie jest podrażniony; ale jego ukąszenie zabija w kilku minutach.

— Wąż boa jest chyba jeszcze straszniejszym?

— Wąż boa nie ma wcale jadu tak samo jak pospolity wąż; ale równie jak wszystkie węże, jest to zwierzę mięsożerne, a ponieważ obdarzony jest siłą i chyżością nadzwyczajną, zatem rzuca się na zdobycz chwytając ją, dusi w swoich skrętach, gniecie, miażdży i połyka powoli, pochłaniając ją w głąb własnego ciała, częstokroć jeszcze w pół żyjącą.

— O jakiej on mówi oliwie? — spytał Melchior swego towarzysza, gdy oddalono się od napowietrznej wioski, udając się w drogę napowrót.

— Nie wiem z czego ją robią, ale z pewnością jest to jakaś silna trucizna.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Jedno z naukowych czasopism francuzkich na dowód że psy są zdolne rozpoznawać istoty lub rzeczy odtworzone na płótnie penszlem artysty, przytacza następujące wydarzenia. Pewien malarz posiadał jamnika, który miał zwyczaj ścigania w polu owiec; oduczone go od tego z niemałym trudem, karząc niejednokrotnie. Zdarzyło się, że tenże sam artysta malował obraz przedstawiający trzodek owiec, strzeżoną przez dwa psy; w tymże czasie odwołany został na krótko z pracowni, w której sam pies pozostał. Jakież było zdziwienie malarza, gdy za powrotem zastał swego ulubieńca tuż przed samym obrazem mocno zirytowanego i jakby gotowego do napaści na malowane owieczki, które wszakże nie dochodziły 10-ciu cali długości. Później wiele razy pies zobaczył ten obraz, okazywał dziwny niepokój, ale zarazem pewne zainteresowanie się i jakby poznał wreszcie, że to tylko odtworzenie żywych jego nieprzyjaciółek, siadał z daleka na stole i przypatrywał się dziełu sztuki.

Inny znów pies miał towarzysza, którego właścicielka każała odmalować. Gdy obraz był skończony, pies, poznał od razu przyjaciela, skoczył ku niemu i szciekając radośnie, obiegał płótno w około, tak zupełnie, jakby się cieszył widokiem towarzysza, z którym był czas jakiś rozłączony. Wypadek ten nasuwa myśl, że chcąc się przekonać czy portret jest trafiony, należałoby go postawić przed swojego psa ulubionego, gdyby zaś tenże zaczął się do niego łączyć, to portret musi być podobnym. Nieraz się też zdarza, że psy okazują wrażliwość na melodye smutne lub wesołe. Ten sam piesek, który był nieprzyjacielem owiec, nadzwyczaj lubił muzykę, lecz tony smutne były mu przykre. Gdy usłyszał „Marsza pogrzebowego Chopin'a" okazywał z początku żywe niezadowolenie, aż w końcu zaczynał wyć rozpaczliwie. Przeciwnie, jakaś piosnka wesoła usposabiała go jaknajlepiej, skakał wtenczas, łąsił się, a nawet tonami dość czystymi zachowując miarę taktu próbował czasem akompaniować.

Od niedawna na wybrzeżu hiszpańskim w pobliżu Bilbao, istnieje kolej żelazna podwodna. Wybrzeże jest tam tak płytkie, że okręty nie mogą dobrać do lądu dla zabierania z kopalni tamicznych, rudy żelaznej. Ułożono tedy w morzu szyny aż do miejsca, w którym głębokość jest dostateczną dla okrętów. Po szynach tych jedzie wagon wiozący wysokie rusztowanie, które służy za podstawę skrzyni, obejmującej 100,000 klgr. rudy; ta skrzynia zaś jest napełnianą za pomocą rynny, z wysokości skały nadbrzeżnej. Następnie odczepia się od skały i toczy z wolna po szynach ku okrętom, gdzie bywa opróżniana. Do wagonu wiozącego skrzynię, przytwierdzona jest lina druciana, za pomocą której wciągany bywa do szpalistej kolei, wykutej w skałach po opróżnieniu skrzyni. Gdy zaś skrzynia napełniona jest rudą, ciężarem swoim popycha naprzód wagon, który nawet przy burzliwym morzu odbywa tę drogę 50 razy dziennie i ładuje 5 mil. klgr. rudy.

ZAGADKA.

(Od Poranka majowego dla Kwiatka lotosu).

Wprost, jest rybą, pewno o tem wiecie;
Wspak, był znany w starożytnym świecie,
Imię to konsula dzielnych Romy synów,
Który pokonał jej wrogów, Latynów;
Ale to zwycięztwo okupił zbyt drogo,
Bo wśród nieprzyjaciół zginął śmiercią srogą.

KRZYŻ Z PODSTAWĄ.

(ułożył Lampucer dla Julka).

| | | | | | | | | | | |
|---|----|----|----|----|----|----|----|----|---|----|
| | | | | | | | | | | |
| | | | | 21 | | | | | | |
| | | | | 23 | | | | | | |
| | | | | 21 | | | | | | |
| | | | | 22 | | | | | | |
| 1 | 25 | 17 | 19 | 20 | 25 | 21 | 23 | 15 | | |
| o | r | | | 3 | | | | | | |
| | | | | 8 | | | | | | |
| | | | | 1 | | | | | | |
| | | | | 13 | | | | | | |
| | | | | 22 | | | | | | |
| | | | | 2 | | | | | | |
| | | | | 9 | | | | | | |
| | | | | 16 | | | | | | |
| | | | | 23 | 9 | 20 | 13 | 1 | | |
| | | | | 2 | 5 | 20 | 11 | 9 | 4 | 24 |
| | | | | 23 | 9 | 5 | 12 | 9 | 3 | 25 |
| | | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | | |
| | | | | | | | | | | |

1. Linia pionowa, imię i nazwisko sławnego lekarza.
2. Ramiona krzyża — ruiny zamku w Karpatach nad Dunajem.
3. Pierwszy szereg podstawy — rzeka w Polsce.
4. Środkowy szereg — podgórze Karpat.
5. Dolny szereg — kopalnia soli.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go.

Zadania konikowego:

Pod krzyżem młodzian w wieczornym zuroku
Siedział nad lutnią schylony,
I ogień dziwny pałał mu w oku,
Gdy ręką poruszył struny.

(wiersz Mieczysława Romanowskiego).

Łamigłówki liczbowej:

Nos, noc, dynia, as, San, kos, Wisła, osa, cyna, Anna,
koło, sok, kakao, kat, kot, kawa, woda, sowa, kłoda, Oka.

Władysław Taczanowski.

TREŚĆ: Z wyspy Atlanty, p. Zofię Urbanowską. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.). — Skały dziwnych kształtów (z drzew.). — Wiosna w duszy, wierszyk ofiarowany siostrzyczce p. Maryą Kondracką. — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.). — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Indyk w gniewie, wierszyk (z drzew.). — Prima aprilis p. Pegaza skrzydłatego. — Sprawozdanie z konkursu kaligrafii. — Przygody Wicusia, p. Annę Załęską (c. d.). — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



INDYK W GNIEWIE.

— Guldu, guldu!...-zakrzyknął indyk wśród podwórka I ogon swój roztoczył i napaścił piórka I zczerwieniał się strasznie jak mak, jak zarzewie, Jak najczerwieńsza wiśnia, no, jak indyk w gniewie, A Józia się wstydziła patrząc na to z sieni Bo gdy się rozgrymasi... też się tak czerwieni...

PRIMA APRILIS. X

chl! żebyś wiedział mój Guciu, jakie zabawne sztuki pokazuje kataryniarz z pudlem na podwórzu — mówiła dwunastoletnia Helenka, wchodząc do pokoiku młodszego nieco od siebie brata: lecz cóż to już po ósmej, a ty jeszcze leżysz w łóżku? Wstawajże prędzej, jeśli chcesz go zobaczyć — dodała, i wybiegła śpiesznie z pokoju.

— Zaraz, zaraz idę — odparł chłopczyk, zrywając się na równe nogi z pośnania, poczem aby czasu nie tracić, zarzucił bluzkę owinął się szybko kołdrą i w kilku su-

sach już był w jadalni przed oknem obok siostry, która ciekawie niby wyglądała na dziedziniec.

— A „prima aprilis” nie patrz, bo się omylisz! — zawołała Helenka, śmiejąc się z zawiedzionej minki Gucia.

— Ciebie zawsze się tylko niemądre figle trzymają, aby mi przeszkadzać i zabierać czas niepotrzebnie.

— Nie wiedziałam, że spanie jest tak ważnym zajęciem.

-- O bardzo proszę! właśnie miałem wstać gdyś weszła — odrzekł Gucio i zagniewany nieco wrócił do swego pokoju, gdzie z niemałym znów zdziwieniem spostrzegł na zegarku, że była dopiero godzina szósta, a nie ósma, jak utrzymywała Helenka.

— Masz tobie, podwójnie się załapałem — pomyślał chłopczyk — gotowa teraz rozpowiadać, że to ona mię tak wcześnie obudziła, no ale już więcej nie dam się wywieść w pole.

Kiedy umyty i ubrany zasiadł do odrabiania lekcji weszła służąca z oznajmieniem, że śniadanie jest już na stole.

— Dobrze, dobrze — mruknął Gucio, nie podnosząc się nawet od stolika, na którym pisał. Po chwili przyszła służąca raz drugi i trzeci, lecz Gucio powtarzał wciąż: dobrze, dobrze i pisał dalej.

— Dla czego nie idziesz Guciu na śniadanie — zawołała wreszcie mama z jadalnego pokoju — już wszyscy herbatę wypili, a ciebie doczekać się nie można.

— Nie wiedziałem, iż dziś śniadanie tak wcześnie — tłumaczył się chłopczyk, witając rodziców.

— Wcale nie jest wcześnie — powiedział ojciec — już jest blisko dziewiąta...

— Tak, ale ja cofnęłam wczoraj wieczorem zegarek Gucia o całe dwie godziny — zauważyła Helenka z uśmiechem — przez co jak widzę, potrójnie udało mi się załapać mego roztrzępanego braciszka.

— A ja myślałem, że to Maryanna chce mię znów wziąć na „prima aprilis.”

— Gdziebym tam, proszę panicza — odezwała się służąca — miała myśleć o tem, kiedy mi się dziś w śpiżarce zbiło jajko z załęgłym kurczątkiem: do południa bytby już wcale duży kogut, a teraz nie wiem sama, co gotować na obiad?

— Jajko z kurczątkiem, a to musi być zabawne — zawołały dzieci i cwałem pobiegły do kuchni oglądać owo dziwo.

— A „prima aprilis” — zachichotała Maryanna, uradowana ze swego dowcipu, nic bowiem podobnego się nie wydarzyło, a i dzieci nie mniej się śmiały ze swej nierozwagi i łatwowierności.

Po śniadaniu, gdy Helenka siedząc przy stole, zaś Gucio chodząc po pokoju uczyli się zadanych lekcji, przyszedł posłaniec z listem od nauczycielki, która donosiła, iż z powodu ważnego interesu na lekcję tegoż dnia nie przyjdzie.

— A to wybornie się stało — zawołała Helenka po przeczytaniu listu — nie czuję bowiem w sobie najmniejszej ochoty do nauki, przy tak pięknym dniu jak dzisiaj.

— Ja również — powiedział Gucio.

— Cóż będziemy tedy robić?

— Możebyśmy się przeszli do Saskiego ogrodu: od czasu ostatniej ślizgawki, ani razu tam nie byliśmy.

— Czy aby tylko wyjść nam mama pozwoli?

— To się zapytaj i powiedz, że dziś lekcji nie będzie.

Chociaż niechętnie, na przechádzkę dzieci mama ze-

zwoliła, pod warunkiem rychłego powrotu do domu. Ubrana w lekkie wiosenne płaszczyki już miały dzieci wychodzić, gdy w przedpokoju zabrzączał nagle dzwonek, a gdy Guccio drzwi otworzył, weszła niespodziewana zupełnie nauczycielka.

— Jak się macie, drogie dzieci — zapytała przybyła — czy wychodzicie gdzie z rodzicami?

— O, nie, chcieliśmy się tylko przejść do ogrodu, ponieważ pani nas zawiadomiła, iż lekcyi mieć nie będziemy, — odrzekła Helenka.

— A prima aprilis, czyście zapomnieli o dniu pierwszego kwietnia — powiedziała nauczycielka.

Rade nie rade, z zasmuconemi wielce minkami, zasiały tedy dzieci do lekcyi, nie dla tego jednak, aby im było żal ulubionj przechadzki, lecz że nie były przygotowane.

— Cóż to znaczy, iż dziś dzieci zupełnie lekcyi nie umieją — powiedział ojciec, który wszedł był właśnie do pokoju: — Helenka, słyszę, nie odrobiła arytmetycznych zadań, a Guccio nie nauczył się ani polskich wierszy, ani słówek francuzkich?

Gdy zaś nauczycielka powiedziała o wszystkim — rzekł ojciec dalej z uśmiechem:

— Widzicie moje dzieci, jak to nie można wam ufać ni też polegać na was, zamiast nauczyć się zadanj wam na dziś lekcyi, aby ją jutro tem lepiej umieć, woleliście się pierw przejść do ogrodu, a wszakże nie dla tego tylko się uczycie, że nauczycielka przyjdzie was słuchać, lecz abyście się stali mądrzejszemi i pożytecznemi jak dla siebie samych, tak i dla innych, nauka tedy nie jest wymyślonym jakimś przymusem, lecz powinnością każdego człowieka. No, ale dość już tego na dzisiaj — zakończył ojciec, zwracając się do nauczycielki — proszę uwolnić Guccia i Helenkę od lekcyi, niechaj dzień pierwszego kwietnia, bożkowi śmiechu przez Rzymian poświęcony, i oni spędzą wesoło.

Nauczycielka chętnie na to przystała, po obiedzie odrabiały dzieci zadania, wieczorem zaś były z rodzicami w cyrku, i tak przeszedł dzień „prima aprilis” Guccia i Helenki.

Pegaz Skrzydlaty.

Sprawozdanie z konkursu kaligrafii.

Z najżywszą przyjemnością przeglądaliśmy, drogie dzieci, przysłane przez was próbki kaligrafii. Są między niemi niektóre, zapowiadające na przyszłość śliczne pismo, są mniej ładne, ale wszystkie są tak starannie kreślone, tak w nich znać chęć napisania dobrze, *najlepiej jak które z was umie*, że wszystkie razem uścisknąć was tylko trzeba, pociechy najukochańsze i życzyć, abyście i w dalszem życiu starały się zawsze robić wszystko, co do was należyć będzie, *najlepiej jak które potrafi*. Tymczasem prace wasze rozgatunkować trzeba. Otóż, wybierając z pomiędzy dobrych bezwarunkowo najlepsze, przyznajemy nagrody 1-go stopnia: 8 letniemu Jabłuszku z Kani, które musi być najmilszem z jabłuszek. Dobruni, która mimo pobytu na obczyźnie jak sercem tak

i rączką udział bierze we wszystkim, do czego tutejsze dzieci powołujemy. 8 letniej Pliszce z nad Łybedi, która nietylko przysłała cały kajet kaligrafii, ale jeszcze oprócz podpisu zwyczajnego położyła drugi; wcale nieźle narysowaną pliszkę, coś niby w rodzaju pseudonymowego portretu. Z ośmioletnich należy się jeszcze nagroda Iskierce widocznie wprawną już rączką piszącj, Papierosowi opisującemu bardzo ładnem pismem żałosną przygodę Stasia, który „na sukni zrobił plamę”. Na przejściu od lat 8-u do 7-u stoi Jaś z Żabna, od września zeszłego roku uczący się dopiero pisać. Powinnować trzeba „Cioci Zosi” tego ucznia, który dobrze już pisze przysadzamy, a mimo to, obiecuje pisać „jeszcze ładniej”. Ze starszych dziewięcioletnich panienek, odznacza się ślicznem pismem Janinka z Janowa Siedleckiego, przysłała nam dwie próbki kaligrafii, widocznie pracowita to panienska, która nie żałuje trudu gdy idzie o zrobienie czegoś porządnie. Srebrna Muszka prosi o zrobienie dla niej wyjątku: chętnie zadość czynimy jej życzeniu, i w jej osobie przywracamy cześć całemu rodowi much, na które rzucił ktoś potwarz, że gryzmoła. Nieprawda! ta Muszka srebrna warta nagrody! Zasługuje też na nią i Dusia K. pewnym, wyrobionym już, drobniejszym charakterem pisząca; ale dla czego lat swoich nie wymieniła? Sądząc po zaletach jej pisma, do dziewięcioletnich ją liczymy. Co do dwóch sześcioletnich: Bohdanka i Kłoska podolskiego, to powiemy tylko! Jak tu nie dać nagrody, i serdecznego pocałunku w dodatku! *takim* kaligrafom?

W dalszym jeszcze ciągu zasługują też na nagrody: dziewięcioletnia Marya S. z P.; pismo widocznie z takim staraniem kreślone, że aż drzeć trochę musiała rączka. Ośmioletni znowu najliczniejszy zastęp stanowią: Hanka G. po polsku i po niemiecku wprawnie już stawia litery, Piotr S. z P. równie starannie pisze jak o rok starsza siostrzyczka, Kary konik zamiast nóżką grzebać, dobrze już wodzi piórem, a co zaś do Zawadyaki z nad Dunaju, to nikt nawet spodziewać się nie mógł aby tak burzliwe i czupurne stworzenie chciało fałdów przysiedzieć nad kaligrafią. Co to jednak może dobra wola! I ty coś wiesz o jej skuteczności, Trawko stepowa! masz lat 7^{1/2}, a zeszyt, który nam przysłałaś, dowodzi że i ty na dobrj woli nic nie tracisz.

Należą się również nagrody sześcioletnim: Stefanowi B. i Krokodylowi. Pierwszemu widocznie jeszcze mamusia nie powierza tak niebezpiecznego sprzętu, jak nalany atramentem kałamarz, bo ołówkiem tylko nakreślił króciutkie o swojej osobce opowiadanie. Krokodyl malutką rączką ładnie napisawszy, zasłużył także na nagrodę. A kiedyż zostaniesz naszym korespondentem jak to mieliśmy przyobiecane? 7 letni Wit: Wil: zasługuje na nią także, również jak i 9 letni Stańczyk. Leok: Mał. lat swoich nie wymieniła; po charakterze wnosimy jednak, że musi być rówieśniczką Stańczyka, i że praca jej „nie bywa daremną”. Do kaligrafii, jak do wszystkiego, trzeba mieć ów dar szczególny, talentem zwany; ale kto robi wszystko, co zrobić może, od tego już nic więcej żądać się nie ma prawa, a sumiennemu trudowi sprawiedliwość oddać zawsze się godzi. I my też, oddając ją wam, drogie, kończymy to sprawo-

zdanie życzeniem, abyście zawsze równie szczerze zadowolnić umiały tych, którym z kolei rzeczy, postęпки wasze sądzić wypadnie.

Redakcyja.

PRZYGODY WICUSIA

P. ANNĘ ZALEŃSKĄ.

VIII.

Po skończonym kontredansie wszyscy przeszli do jadalnego pokoju, obsiedli wielki stół, zastawiony różnemi przysmakami, a Józia z bratem gościom uprzejmie usługiwali.

Kiedy po rozmaitych daniach rozniesiono już lody i tort wspaniały, z salonu doszły biesiadników dźwięki skoczego mazura. Wszyscy jednomyślnie powstali i zaczęli się łączyć w pary. Tylko Józia niespokojnie oglądała się za swoim tancerzem Adasiem. Wicus, szukając go, wbiegł do męzkiego pokoju, od którego drzwi były przytknięte; tam niespodziany uderzył go widok. Adaś i dwóch nastarszych gości, znalazłszy na stole papierosy nie dla nich przygotowane, zapalili je i z wielkiem zadowoleniem wołali na wchodzącego: dobrze że przychodzisz do nas, zapal papierosika, to bardzo po kolacy smakuje.

Wicus osłupiał z podziwu; jak oni pięknie, jak po kawalersku wyglądają wśród tych kłębow dymu; ach! czemuż jemu wcześniej ta myśl nie przyszła! ale nie ma rady, teraz trzeba iść tańczyć mazura.

— Chodźcie — zawołał — bo panny czekają.

Adaś zawstydział się, że zapomniał o obowiązku tańczenia z domową panienką, ale za chwilę już, w zręcznych podskokach stanął w pierwszej parze, wymyślał coraz nowe figury i ogólne zjednywał sobie pochwały; naraz pobladł, uchwycił się za serce. — Przepraszam — szepnął do Józii i wybiegł z pokoju.

— Co się jemu stało — zawołali wszyscy — zasłabł nagle, Adaś nagle zasłabł!

Pani Z. niespokojna pośpieszyła za nim.

Adaś rzeczywiście był chory; różne nieprzyjemne objawy się przypadłości, jak zwykle po papierosach których nie nawykł palić, o tańcu już myśleć nie mógł.

Ta choroba najlepszego z tancerzy, tak dziwna i niespodziana, przyczyniła się do skrócenia zabawy. Wszyscy smutkiem przejęci zaczęli się zbierać do domów — mówiąc między sobą!

— Co się mogło stać Adasiowi, zdrowiuteńki przecież był przed kolacją?

— O co? naturalnie zaszkoziła mu limoniada — rzekł Wicus do zafrasowanej Józii; — my mężczyźni przy tańcu nie możemy się obejść bez wina, już ja ci to powiadam!

IX.

Możnaby przypuszczać, że po tak mile spędzonym wieczorze, nasz Wicus z podwójną pilnością zabrał się do pracy, żeby wywdzięczyć się swój dobrej matce, za

trud i koszt podjęty dla niego. Ale niestety! inaczej się stało: lekkomyślny chłopiec rozbałamucił się bardziej jeszcze; jemu teraz w czasie poważnej lekcji w uszach szumiały dźwięki mazurka; okładki kajetów przypominały mu różowe i niebieskie sukienki tancerek, w mapach geograficznych zdawało ma się, że widzi coś podobnego do tortu przekładanego konfiturami; ale już najbardziej dręczące wrażenia sprawiał mu widok piór i ołówków; koniecznie mu się zdawało, że to są papierosy i chęć go zbierała wielka zapalić choć jednego.

Bezustannie więc nudził swoją zbyt dobrą mamę, by jeszcze jeden balik wyprawiła.

— Już zobaczysz, mameczko, jaki ja potem będę pilny; jak do samych wakacyi uczyć się będę doskonale. Ale raz jeden, tylko raz jeden pozwól mi gości zaprosić.

Mama opierała się długo, tłumaczyła mu, że teraz post nastął, że żadna panienska nie przyszłaby na wieczorek, że nawet dla dorosłych ludzi, tylko siedzące rauty teraz urządzają.

Wicus się zastanowił: — No prawda, teraz tańczyć nie można, ale czyż to bezmyślne skakanie ma być już najmiłą rozrywką — mówił pogardliwie — czyż konieczne są dla miłego spędzenia czasu owe hałaśliwe, podskakujące pensyonareczki. Poważna rozmowa o naukach i szkole, w dobranym gronie kolegów, byłaby mu jeszcze miłą.

— Tak, mamu najdroższa, w sobotę wypada św. Józef, imieniny mojej siostrzyczki, pozwól mi zaprosić kilku przyjaciół, zabawimy się doskonale.

I tak długo prosił i nudził, tyle przyrzekał za to pilności, że narecznie mama mu pozwoliła i wybór gości, których mu wolno było zaprosić, został postanowiony. Ustępowała mu nawet pani Z. na dzień ten saloniku, na własny użytek.

— Tylko ty Józiiu, pamiętaj, żebyś się tam wcale nie kręciła; będzie to zabawa chłopcom tylko właściwa a nie miejsce dla panien. Taki jest obyczaj na świecie przyjęty.

Józia ani myślała walczyć przeciw obyczajom światowym; dziwiła się tylko w duchu, dla czego w dzień swoich imienin miała się stanowczo bawić sama. Ale mówić o tem z Wicusiem już nie było sposobności; tak miał głowę zaprzątniętą przygotowaniami, coraz to coś nowego wymyślał, ku uczeniu swych gości. Ze szkoły przychodził teraz później, a raz Józia spostrzegła, że przyniósł z miasta jakiś pakiecik i schował go prędko do szafki, a gdy zbliżyła się ciekawie, chcąc zobaczyć, co to być może:

— Poszłabyś — rzekł bardzo niegrzecznie — pilnować lepiej igły i naparstka.

Jak w sobotę poszła Wicusowi nauka w gimnazjum, nie wiemy; bo dyskretni jego koledzy nie zdradzili go; do domu zaś przybiegł zdyszany i bardzo się ucieszył, widząc, że w saloniku jakoś inaczej niż zwykle wygląda; światła przygotowano więcej — i obszerniej było, bo kilka kosztowniejszych i łatwiej psujących się przedmiotów usunięto.

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze, drugie i trzecie,
Jest zawsze w alfabecie,
Wszystko z gorących krain nam przychodzi,
Zgotowane piją i starzy i młodzi.

Zagadka homonim.

Ci co miastem mnie nie znają,
W każdym tygodniu mnie mają.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go.

Szarady:

Ku — ra — cy — a.

Zagadki:

Koryto.

Skrzynka do listów.

P. Z. B. w gub. Wołyński. Nie możemy uczynić zadość życzeniu Pani, gdyż wedle naszego przekonania podobne napomnienia mogą jedynie pochodzić od rodziców, o ile ci je uznają za odpowiedzialne.

Pytasz nas miła **Emilko O.**, czy ubogie dzieci, któremi się zajmujemy będą miały święcone? Niestety nie od naszej dobrej woli to zależy, ale od możliwości, a przed święconem jeszcze wypada pomyśleć, aby miały trzewiki na święta, bo inaczej do kościoła nie pójdą. Pamięci miłosiernej dobrych serduszek zawdzięczają już wiele, bo nie jednym podarowane znoszone ubrania, pozwoliły chodzić do szkółki, lub ochronki, gdy inaczej wyjść nie mogli z domu.

Srebrna Strzała nie powinna nas przeproszać za *ambaras*, bo wszelkie przysługi dla naszych kochanych czytelników, sprawiają nam tylko przyjemność. Literatura najodpowiedniejsza co do obszerności tej o której mowa jest Mecherzyńskiego, kosztuje rs. 2, przesyłka zaś pocztowa wyniesie kop. 30.

Wróżbiarka szczęścia nigdy nas nie znudzi swoją korespondencją, nic możemy przeto dać jej pseudonimu doradzonego przez mamę. Powiastka będzie umieszczoną jak się tylko znajdzie miejsce. Mając ochotę myśli swych udzielić drugim, uczyć się przedewszystkiem trzeba, dobrze więc Wróżbiareczko, że uczyć się lubisz. Żądane książki wysłano, wraz z przesyłką wynoszą rs. 7 kop. 30, pozostało przeto do dalszego rozporządzenia kop. 70 z przysłanych rs. osmiu.

Posłałiśmy żądany numer kochanej **Białośnieźce**, rocznik zaś *Wieczorów* zupełnie u nas wyczerpany.

Najtrudniejsze zawsze początki, **Czubała Kokoszko!** Mamy nadzieję, że raz przemógłszy nieśmiałość, będziesz już odtąd pisywała wypracowania na każdy konkurs, a **Gołąbka** nie zadziobie **Kokoszki**. Liścik w swoim czasie umieścimy.

Wisienka także do nowicyszek należy; razem parkę stanowicie bardzo mile witana.

Wcale nas nie znudziłaś **Szara Ptaszyno z Podola**. Ze ci się podobały krewniaczki, kolibry, to nie dziw; ale pod szaremi piórkami odważnie mieć musisz serduszek, kiedy się tygrysem przypatrujesz z upodobaniem. Jakżebyśmy chcieli poznać tego młodszego braciszka, który się „zachwyca hipopotamami!” O dalsze wiado-

mości z Or. prosimy, niech Bóg wam błogosławi, dziateczki drogie, na nową, oddaloną siedzibie i pozwala wyrastać na pociechę rodzicom, a pożytek swoim!

Rozwiązania nadesłane przez **Lucia des E.** odebraliśmy, również jak i z dalekich kresów przybyłe rozwiązanie **J. Zar.**

Gołąbka sama ci odpowie, **Złota przedzo**, na wątpliwości tycające się trafnego wyboru przedmiotu, o którym się w wypracowaniu rozpisalaś. Nie sądzimy, aby ci to miała za złe. ŁamigłóWKi? ma się rozumieć, że czekają „kolei”.

Żabce z Podola serdecznego całusa posyłamy. Wiosna nadchodzi, powinno więc to stworzonko częściej się teraz odzywać.

Nie, nie zapomniano cię w redakcyi **Halko z Litwy** i mile powitano twój liścik. Więc jesteś zdania, że dawne czytelniczki i korespondentki powinny mieć swoje przywileje? Ha, niech i tak będzie...

Chociaż do nich należy **Czarna Gondola**, nie możemy jednak wydrukować liściku tak prędko jakby sobie życzyła. Nawał ich mamy; z czasem jednak wydrukujemy.

Biedne **rajskie Jabłuszko**, serdecznie się cieszymy, żeś już do zdrowia wróciło! Dla czego jednak „niema nic ciekawego do powiedzenia” o miejscowości, w której mieszkasz?

Lilijka z nad Osławy prosi, aby ją „kochać choć troszkę”. Miło i łatwo zadość uczynić takiej prośbie. Co się liścików tyczy, przeczytaj dziewczeczko koniec odpowiedzi udzielonej czarnej Gondoli. Obie wraz z **Kaliną z Ukrainy** pierwszy raz przysyłacie wypracowania na konkurs? Cieszy nas to bardzo; to dowód, że temat przypadł do smaku naszym czytelnikom.

Dąb Sosnowiecki wcale dowcipnie omyslił zagadkę, którą użytkujemy, przedźj zapewne od łamigłówek, bo tych mamy zapas ogromny, nad potrzebę nawet większy.

Istotnie, **Oleńko droga** „jedenastoletnie życie” jest tak krótkie, że trudno się „gniewać” jeżeli nabyte w niem wiadomości nie są jeszcze zbyt obfite. Bądź więc spokojną: w ogóle nie jesteśmy skorzy do gniewu na ukochanych naszych korespondentów.

Wytrwaj w pięknych zamiarach, 12-to letnia **Rosiczko z nad Rowu**, przyklasnąć im tylko możemy i powiedzieć, że serdecznie kochamy i szanujemy dziewczynkę, która tak poważnie myśli o obowiązkach ją czekających.

Bardzo nam przyjemnie, **Oleńko** (z ulicy Marszałkowskiej, dla odróżnienia od tamtej z Litwy), że tym razem nabrałaś śmiałości należenia do konkursu.

Pani M. W. Życzeniu Szanownej Pani uczyniliśmy zadość; za życzliwe słowa uznania dziękujemy serdecznie.

W odpowiedzi na twe zapytanie, kochana **Złota Tęczo**, donoszę że jestem szatynką z czarnemi oczami, dość słusznego wzrostu i mieszkam w pięknej wiosce **Koziucach**. Ile masz lat? i gdzie się uczysz? Co ci się najwięcej podoba w naszych kochanych „Wieczorach”? bo mnie każda powieść poważniejszej treści. Odpisz kochającej cię byłej **Akacy** różowej, terażniejszej **Vescie**.

Kochane: **Pomadko różowa**, **Gałązko Heliotropu** i **Bajurko z Ludwińskiego podwórka!** Dziękuję wam za odpowiedzi; **Pomadce** donoszę, że mi się najwięcej podobają; „**Podziemia Barwałdzkiego zamku**”. Czy **Helcia** będzie pisywać do „**Wieczorów**”? Chciałabym się z wami poznać przez nasze **Pisemko droga Iskierko** i śnieżna **Jagódko**, zdaje mi się, że jeszcze wam daleko do wyłączenia z konkursów, ja się bardzo martwię, że jestem tak starą, gdyż mam już lat 14. Jakie są wasze imiona i gdzie mieszkacie? **Ścisłkam** was wszystkie serdecznie, oraz **Semiramis**. *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochana **Stokrotko z nad Prądnika**. Kiedy się zbierzesz na list do Redakcyi? bardzo jestem tego ciekawa. Nie spodziewałaś się pewno listu odemnie, nieprawda? Czyś jeszcze nie czytała początku „**Szesnaoletniego wojewody**”? Odpisz mi na to pytanie proszę cię i ścisłkam serdecznie. *Makolągwa*.